



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Zenon Malec

Zagrabione dzieciństwo

Gdzieś w połowie sierpnia 1939 roku ojciec dostał polecenie ewakuowania na wschód dokumentów archiwalnych Powiatowego Urzędu Skarbowego w Chodzieży. Po Jego wyjeździe mama zdecydowała, że pojedziemy do Babci, do Poznania. Babcia mieszkała w wielkim czworoboku mieszkalnym między ulicami: Waleckiego, Strusia, Foscha i Kanałową. Większa część tych budynków połączona była długim, wąskim, wspólnym podwórzem w kształcie litery C, do którego prowadziła niezliczona liczba bram i klatek schodowych. Pozostała część podwórza zabudowana była warsztatami i magazynami. W dolnym rogu, pod kinem znajdowała się bardzo wielka piwnica, adaptowana na schron przeciwlotniczy. Wejście do niego było ograniczone murkiem nad schodami i wysuniętą w głąb podwórza klatką schodową, tak że tworzyło małą zatoczkę o powierzchni około 40 m².

W dniu 1, a może 2 września około godziny 10.00 radio podało komunikat o nadlatujących samolotach i wezwało do udania się do schronów. Ledwie znalazłem się w schronie wraz z siostrami Janką i Marylą (w wieku 5 i 3 lat), a już usłyszałem wybuchy. Na bezbronne miasto i niewinną ludność cywilną niemieccy piloci bez skazy zaczęli zrzucać śmiertelne bomby. Na nasze podwórze pierwsza bomba spadła w górnej jego części – wprost na idącą do schronu młodą kobietę i rozerwała ją na strzępy, tak że na drugi dzień znajdowaliśmy kawałki ciała w różnych zakamarkach podwórza: tu dłonie, tam stopy itd.

Druga bomba spadła w opisywaną wcześniej zatoczkę pełną ludzi schodzących do schronu, a podmuch wybuchu rozerwał murek chroniący wejście, zasypując gruzem znajdujących się tam ponad 300 osób. Wybuchła ogromna panika, spotęgowana unoszącym się popiołem i dymem, a przede wszystkim histerycznymi okrzykami: „gaz, gaz!” Wszyscy rzucili się do zapasowego wyjścia. Powstało niesamowite kłębowisko depczących się wzajemnie ciał. Nie wiem jak to się stało, że nie został nikt zdeptany. Gdy i mnie wreszcie udało się wydostać z tej matni, przeskakując liczne spalone nie do poznania zwłoki spóźnialszych wpadłem do leżącej naprzeciwko bramy i skryłem się za jednym z otwartych jej skrzydeł. Tam przesiadziałem do zmroku.

Natomiast siostry, które w tłoku pogubiły buciki, na boso wraz z ciotką dotarły do domu i – o dziwo – mimo, że biegły po kawałkach potłuczonego szkła z wybitych szyb, nawet nie pokaleczyły nóg.

Ponieważ nie dotarłem do domu – mama zaczęła mnie szukać i dotarła do zwłok mojego spalonego rówieśnika, który był przypadkowo podobnie jak ja ubrany i uznała, że to ja. Nie wiem, co przeżyła odkrywając zwłoki syna. Wiem tylko, że jej przeżycia skupiły się na mnie po powrocie do domu, gdzie dostałem największe baty w życiu. Do dziś nie wiem, czy za to, że przeżyłem czy za przeżyte przez te kilka godzin cierpienie matki.

Kilka dni później, po wkroczeniu Niemców i jakimś ustabilizowaniu się sytuacji, mama postanowiła, że pozostaniemy w Poznaniu. Tuż po moich 11 urodzinach pojechałem z Mamą do Chodzieży, aby przywieść więcej ubrań i innych niezbędnych do przetrwania rzeczy. Mieszkaliśmy w willi tuż przy stacji kolejowej. W czasie pakowania rzeczy do naszego mieszkania wszedł niemiecki żołnierz. Zaczął z Mamą rozmowę. Następnie gonił ją wokół stołu w jadalni i głośno coś szwargotał. Wreszcie dogonił ją. Przez chwilę szarpał się z nią, a kiedy dostał w twarz – przestał. Dopiero dużo później zrozumiałem, że od gwałtu na moich oczach ocalała Mama dobra znajomość niemieckiego i to, że go uderzyła. Przypuszczam, że przestraszył się, że mama jest Niemką (a może mu to powiedziała) i że może na niego donieść.

Na pewno wymaga wyjaśnienia skąd mama tak dobrze знаła niemiecki. Wiele lat wcześniej moi pradziadkowie ze strony Babci wyemigrowali za pracą do Hamburga i tam w mojej Babci śmiertelnie zakochał się Niemiec o nazwisku Goering. Babcia jednak nie chciała wyjść za ewangelika, więc on przeszedł na katolicyzm i dopiero wtenczas się pobrali. W tym małżeństwie osobą wiodącą była jednak moja Babcia i chociaż wszystkie dzieci ukończyły szkoły niemieckie, w domu obowiązywał język polski (w tym i mojego dziadka), nadto podbudowany głębokim patriotyzmem. A dzieci tych było niemało, bo aż czternaścioro, z czego do końca pierwszej wojny światowej przeżyło tylko pięć. Reszta umarła lub zginęła na frontach w szeregach wojsk cesarza. Po powstaniu niepodległej Polski Dziadek był już tak przerobiony na Polaka, że zrzekł się obywatelstwa niemieckiego i przyjął polskie, a następnie wraz z rodziną przyjechał do Poznania.

* * *

Chyba w listopadzie 1939 roku Niemcy ogłosili, że otwierają szkołę i dzieci mają obowiązek do niej uczęszczać. Rzeczywiście chodziliśmy do niej jakiś czas (chyba dwa lub trzy miesiące), a następnie ją zamknięto. Skierowano nas na dalszą naukę do różnych zakładów pracy. Mnie i dwóch kolegów wysłano na naukę noszenia ciężarów do przedsiębiorstwa transportowego, którego właścicielem z przydziału był Konrad Zippel. Nauka rozpoczęła się od nadania nam imion: mnie – Fritz, a kolegom – Heinz i Bennon oraz zakazu mówienia po polsku. Poza pracą codziennie musieliśmy nauczyć się kilkunastu podstawowych słów niemieckich.

Szybkie postępy w nauce, którą przeplatały obowiązki gońców i robotników za- i rozładunkowych (początkowo lekkie towary), wspomagało bicie – nie tylko po twarzy – gdy tylko któryś z Niemców złapał nas na rozmowie między sobą po polsku lub gdy nie nauczyliśmy się żadnych słówek.

Gdzieś pod koniec 1940 roku, a może na początku 1941, gdy ja coraz lepiej poznawałem niuanse języka „panów” – babcia i mama dostały wezwanie na Gestapo. Wróciły stamtąd trzeciego dnia trochę poturbowane, a szczególnie matka. Jak wiem z Jej opowieści zaproszono Ją do gabinetu. Gestapowcy poczęstowali kawą, koniaczkiem, ciasteczkami i zaczęła się miła rozmowa. Napomknięto, że jest córką zmarłego w 1937 roku Niemca, kończyła szkoły niemieckie, w związku z czym proponują, żeby zamiast podpisywania jakiejś folkslisty postarała się o niemieckie obywatelstwo. Rozmawiający z nią gestapowiec nie spodziewał się odmowy, więc najpierw się zdumiał, a następnie rozpoczął przekonywanie przy pomocy bicia. Następnie mama znalazła się w piwnicy. Po dwóch dniach zaprowadzono Ją do gestapowca. Na pytanie, czy się namyśliła i czy chce resztę życia spędzić w podobnych warunkach odpowiedziała, że czuje się Polką i nie zmieni obywatelstwa. W odpowiedzi gestapowiec wygłosił tyradę, że jest głupia i nie wie co robi itd. Na koniec oznajmił, że ma nadzieję, iż zmieni zdanie i sama jeszcze przyjdzie z prośbą, dlatego tylko puszczają ją na razie wolno. Jednak więcej już nie ponawiali próby zrobienia z nas Niemców.

Na przełomie 1941-1942 roku w czasie największych mrozów zaczęły się masowe wywózki do Generalnej Guberni. Prawie codziennie na ulicę wyjeżdżały bardzo głośne samochody (chyba miały odjęte tłumiki), które wolniutko przemierzały ulice, często zatrzymując się przed poszczególnymi budynkami, aby po chwili odjechać pod inny budynek. Po jakimś czasie wracały, aby wreszcie zatrzymać się pod właściwym domem i rozpoczynał się akt drugi. Wędrówka po wybranym budynku w górę klatek z zatrzymywaniem się na poszczególnych kondygnacjach. Chwila niepokoju i zdenerwowania i odprężenie – poszli dalej.

Naturalnie na całej ulicy nikt nie spał i zza firanek z drzeniem serca obserwowano. Zatrzymał się? Odjechał! Tak samo warowano pod drzwiami, gdy byli na klatce schodowej. Oczywiście na noc nikt się nie rozbierał, a spakowane walizki stały w przedpokoju. Żeby przedstawić skalę napięcia, zacytuję prośbę mojej 6-letniej siostry, która kładąc się spać zwróciła się do matki – „Mamusiu, ja się położę spać w bucikach, bo jak przyjdą, to nie zdążę nałożyć buczków i będę boso i będzie mi zimno w nóżki”.

Do zwolnionych lokali wprowadzali się Niemcy. Ich zadaniem było pilnowanie reszty mieszkańców. W większości przypadków mieszkania te położone były tak, że umożliwiały kontrolę całego budynku, a więc kiedy się wychodzi i wraca (godzina policyjna), kto odwiedza itd. A dzieci tych Niemców w mundurach Hitlerjugend polowały na polskie dzieci, aby im dobrze przyłożyć.

Ale wracam do mojej pracy. Po wielomiesięcznej nauce mówiliśmy tak, jakbyśmy się urodzili w Berlinie. Wykonywaliśmy więc również pomocnicze prace biurowe, jak pisanie listów przewozowych, rachunków itp., a w wolnych chwilach rozładowywaliśmy wagony. Nieraz na mnie i jednego z kolegów przypadało rozładowanie w ciągu 5 godzin wagonu z 15 tonami margaryny w kartonach. Praca była jeszcze utrudniona tym, że z co 4-5 kartonu musieliśmy wyciągać po kostce margaryny i resztę ułożyć tak, żeby nie było śladu kradzieży. Naturalnie wcześniej korzystaliśmy z instruktażu dorosłych pracowników. Natomiast przy rozładunku cukru, mąki lub rodzynek było dużo łatwiej. Nacinało się w rogu worek i usypywało, a następnie zaszywało lub po prostu rozrywało i usuwało połowę zawartości, trochę rozsypywało i wzywało niemieckiego pracownika kolei, aby sporządził protokół. Ten w ogóle nie zakładał możliwości, że 12 czy 13-latkowie mogli coś zmajstrować i pisał protokół strat. A może był w zмовіе z naszymi opiekunami? Naturalnie wcześniej dorośli współpracownicy zabierali naszą zdobycz i sprawiedliwie dzielili. Wieczorem przynosiłem do domu kilka kostek margaryny lub kilo czy dwa innego towaru.

Czas nauki nie poszedł w las – byłem już cwany, przebiegłym i wyszkolonym złodziejem. Takiego zdania był też i pan Zippel i zawarł ze mną fikcyjny „Befehaftigungsvertrag” – umowę nauki zawodu, na mocy której miałem zarabiać miesięcznie w pierwszym roku 16, a w trzecim 36 marek. Od tego momentu mogłem być już legalnie wykorzystywany do cięższych prac – powożenia konnymi platformami (raz nawet ściałem latarnię na zakręcie, za co musiałem zapłacić z moich „wysokich” zarobków), no i nawet do nocnych dyżurów.

Niezależnie od wielogodzinnej ciężkiej pracy, cała nasza trójka była ciekawa świata, a szczególnie łaknęła trudno dostępnej polskiej literatury. Gdy więc udało nam się zdobyć jakąś książkę (którą szybko należało oddać) solidarnie czytaliśmy wspólnie. Odbywało się to w ten sposób, że chodziliśmy na zmianę do postawionej dla Polaków „ślawojki”, wyciągaliśmy z dobrze zamaskowanej skrytki książkę i przez 10-15 minut oddawaliśmy się rozkoszy czytania. I tak kilka lub kilkanaście razy w ciągu dnia. Naturalnie nie udałoby się to nam, gdyby nie nadzór nad tym dorosłych pracowników biura, którzy nieraz nas ostrzegali lub wyganiali z ubikacji, gdy przy ciekawej książce zapominaliśmy o realnym świecie.

W tym okresie miałem kilka przygód, które można uznać za śmieszne, ale mogły się źle skończyć. Często zrywaliśmy się, za zgodą starszych, od rozładunku lub przeprowadzki, na 2 godziny do kina. Akurat szedł film z Maricą Rek „Der waise traum” (Biały Sen). Byłem na nim wielokrotnie i do dziś pamiętam słowa z wiodącej piosenki. Postanowiliśmy z kolegą pójść jeszcze raz (schodził z ekranu) do kina tylko dla Niemców. Byłoby wszystko w porządku, gdyby nie to, że przy wyjściu Niemcy sprawdzali dokumenty. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy działać na bezczelnego. Podeszliśmy do gestapowca i wyrzucając w pozdrowieniu wysoko rękę, zaczęliśmy mu tłumaczyć, że nauczyciel zachorował, mieliśmy niespodziewanie wolne – no i nie wiedząc, że pójdziemy do kina nie wzięliśmy dokumentów. Nasz niemiecki musiał być tak nienaganny, że gestapowiec tylko nas obrugał i nakazał na przyszłość zawsze nosić z sobą dokumenty. Pożegnał nas wyrzutem ręki, na co ochoczo odpowiedzieliśmy i w nogi. A mogło się bardzo źle skończyć!

Zbierałem wówczas znaczki. Jeden z pracujących Niemców (inwalida z frontu wschodniego) powiedział, że ma dużo zbędnych znaczków i kazał mi przyjść do siebie. Gdy przyszedłem okazało się, że ma inne zamiary. Nie wiedziałem co zrobić – był to jeden z moich szefów. Udawałem, że się zgadzam i wykorzystałem pierwszą z okazji, aby uciec. Po tym unikałem go jak ognia, lecz Mamie bałem się poskarżyć.

Pewnego dnia na nocnym dyżurze poszedłem powiadomić brygadę, że mają jechać rozładować wagony. Obowiązywało niemieckie hasło – „koła kręcą się dla zwycięstwa”. Zostałem ich przy picu denaturatu przesączonego przez ligninę. Brygadier popatrzył na mnie i stwierdził: „jesteś już dość duży, mądry, porządny i zasługujesz na poczęstunek”. Nalał mi prawie pół szklanki i powiedział: „masz, wypij za nas”. Takie wyróżnienie! Poczulem się duży i ważny – no i wysączyłem całość. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że przez następne kilka dni bałem się podejść do ognia, gdyż byłem pewny, że mój oddech złączy się z oparami i się zapale. Byłem niby dorosły, a jeszcze myślałem jak dziecko.

Powoli stawałem się mężczyzną, przeżywałem młodzieńcze miłości, a wojna dobiegała końca. Wujek uznał mnie już za dorosłego i dopuścił do słuchania radia, ukrytego głęboko pod schodami w piwnicy. Nasze magazyny zapełniały się dobrem, które Niemcy masowo chcieli wysłać do Rzeszy. Codziennie rano nosiliśmy ogromne ilości listów przewozowych do akceptacji wysyłkowej. Niemiecki pracownik kolei przeglądał je i prawie połowę z nich wybierał do wysyłki. Naturalnie przedstawialiśmy mu tylko mniejszą część z posiadanych listów, a po powrocie szef stale się dziwił, dlaczego tak mało zakwalifikowano do wysyłki.

Wreszcie gdzieś daleko zagrzmiały armaty. Pracujący w firmie Niemcy kazali podstawić pod swoje mieszkania samochody i błyskawicznie się ładować. Nagle stali się mili i uprzejmi. No i wyjechali, czule

żegnając się z nami, a jednocześnie prosząc o opiekę nad pozostawioną resztą mienia i zapowiadając rychły powrót.

Rosjanie byli coraz bliżej, a Niemcy szykowali obronę. Nie wiem czy to było polecenie Niemców czy własna inicjatywa, ale większość kobiet i dzieci opuściła nasz czworobok, przenosząc się do znajomych w rejonie rynku Łazarskiego. W naszym czworoboku pozostały nieliczne rodziny i duża grupa mężczyzn, która postanowiła chronić budynki przed pożarem i rabunkiem. Oczywiście ja też zostałem, a ponieważ byłem ciekawski, kręciłem się wszędzie. Pewnego dnia zobaczyłem idącego podwórzem gestapowca. W tym momencie przechodziła z klatki do klatki moja koleżanka. Na wezwanie zatrzymania zaczęła uciekać, a Niemiec wziął ją na muszkę pistoletu. Bojąc się, że ją zastrzeli, gdyż dzieliła ich niewielka odległość – bez namysłu wyskoczyłem z ukrycia. Wywołany przeze mnie hałas zaskoczył Niemca, który zamiast strzelić skierował pistolet na mnie. No i znowu uratował mnie mój dobry niemiecki. Wyjaśniłem, że dziewczyna jest trochę ograniczona umysłowo i nie zrozumiała polecenia. Gestapowiec nakazał mi powiadomić mieszkańców, że od tej chwili nie wolno nam wychodzić na podwórze, a do nie podporządkowujących się będą strzelać bez ostrzeżenia. Był to bluff, gdyż linię obrony dworca kolejowego przygotowywali w oparciu o Park Wilsona i ulicę Kanałową, a więc po zewnętrznej stronie naszego czworoboku.

Zaczął nam brakować żywności, gdyż zapobiegliwie panie zostawiły nam zbyt mało. Postanowiliśmy więc, że ja jako najmłodszy i najrzęczniejszy udam się na Rynek Łazarski (około 500 metrów) do Mamy i przyniosę coś do jedzenia. Zresztą gdybym spotkał Niemców to się dogadam i nie zrobią mi krzywdy. Jednak się mylili. Gdy tylko wyszedłem na ulicę Małeckiego i uszedłem 10 metrów – Niemcy bez słowa zaczęli strzelać. Uskoczyłem za blaszaną rynnę, licząc że mnie uchroni. Kule śmiały tuż obok i gdy po chwili wyczerpali magazynki – biegiem wróciłem do bramy. Nie mogłem im jednak darować – ukloniłem się im ładnie tylną częścią ciała.

Nareszcie Rosjanie dotarli do naszego czworoboku i zajęli stanowiska na jednym narożniku, a Niemcy po przekątnej na drugim i w Parku Wilsona. Czwarty narożnik był neutralny, a w środku my. Na nasze podwórze – ze względu na dużą liczbę zakamarków – każda ze stron bała się wejść i tylko my, młodzi, przemykaliśmy się po nim, aby z jakiegoś okna dojrzeć co się dzieje. Na drugi dzień nawiązaliśmy kontakt z Rosjanami i przeprowadziliśmy ich przez podwórze. No i walki się przesunęły o kolejną przecznicę. Dumni – z opaskami na rękawie – kręciliśmy się po najbliższym otoczeniu.

W jednym z warsztatów znalazłem porzucony niemiecki automat. Zastanowiło mnie to, gdyż Niemcy w czasie walk bali się wchodzić na podwórze. Zacząłem myszkować w najbliższym otoczeniu i odkryłem, że w kącie za beczkami i skrzyniami ukrywa się dwóch żołnierzy niemieckich. Zarepetowałem i złożyłem się do strzału, lecz zanim zdążyłem pociągnąć za cyngiel oni padli na kolana. Zaczęli błagać, mówiąc o dzieciach itp. No i załamałem się i odprowadziłem ich do kolumny jenieckiej, a w dodatku Rosjanie zabrali mi mój automat. Do dziś nie mogę darować sobie mojej słabości.

Następnego dnia zgarnęło mnie dwóch żołnierzy rosyjskich i mianowali komisarzem. Poszliśmy do dzielnicy willowej, a tam zaczęło się polowanie na „czasy” i biżuterię. Zatrzymywali Polaków (którzy tam przyszli w celu ograbienia pozostawionych przez Niemców mieszkań) i kazali oddawać pierścionki, zegarki itp. komisarzowi. Sami nie brali, a ja miałem pełne kieszenie. W jednej willi trafiliśmy na młodą kobietę. Kazali mi poczekać na korytarzu, a sami zaczęli się brać do gwałtu. Bałem się, że przez drzwi strzelą. Znalazłem miotłę, stanąłem pod ścianą i zacząłem walić w drzwi i krzyczeć, że mają ją natychmiast puścić. Chyba się przestraszyli hałasu i świadka – no i puścili ją, a ona chyżo uciekła. Wyraźnie źli, nakrzyczeli na mnie i kazali opróżnić kieszenie, po czym błyskawicznie się zmyli. Natomiast ja wracając do domu wpadłem w ręce ograbionych i grubo musiałem się tłumaczyć. Dopiero pokazanie pustych kieszeni uratowało mnie co najmniej przed pobiciem.

Jeszcze trzy wydarzenia z tego okresu pozostawiły na całe życie ślad na mojej psychice. Zaraz po przesunięciu się działań wojennych poleciałem do pracy na szaber (nie wysłaliśmy do Niemiec wielu wartościowych rzeczy) i po drodze zobaczyłem niemieckiego żołnierza, po którego głowie jedną z gąsienic przejechał czołg, nie naruszając w ogóle ciała. Rozjechana głowa miała obwód chyba ponad metr, a powiększone oczy, zęby, nos, włosy i uszy były dobrze widoczne i proporcjonalnie rozmieszczone w stosunku do naturalnej wielkości (aktualnej) głowy. Ten obraz długo budził mnie w nocy i nawet teraz nieraz wraca.

W ciągu następnych dni skończyły się domowe zapasy i zaczął się głód. Na szczęście na naszym podwórzu rozlokowała się jednostka radziecka i w kuchni polowej gotowała dla siebie posiłki. Żołnierze co drugi dzień szli wieczorem pod cytadelę i wracali następnej nocy o czwartej lub piątej rano. Jeśli po posiłkach zostawało coś w kotle dawali resztę mieszkańcom – na zasadzie, kto pierwszy ten lepszy. Dlatego tuż po północy my młodzi zajmowaliśmy kolejkę z garnkiem w ręku. Czekać tak wymienialiśmy uwagi – dziś była ostra strzelanina, chyba dużo zginęło, to chyba zostanie dla nas więcej jedzenia.

Któregoś ranka przyniosłem tylko jedną chochlę. Mama po dolaniu wody postawiła po talerzu przed siostrami i mną. Ja zapytałem – „a Ty?” Na to matka odpowiedziała, że nie jest głodna. Reakcja mojej

wygłodniałej, ośmioletniej siostry była natychmiastowa – „Mamusiu, ja też nie jestem głodna”. I odsunęła talerz od siebie. I tak długo talerze wędrowały po stole, aż matka nie uszczknęła z każdego z nich dla siebie i dopiero wówczas siostry i ja rzuciliśmy się na jedzenie. Czy te kilkuletnie dziewczynki można było uważać jeszcze za dzieci czy już za dorosłe kobiety?

Cytadela nadal się broniła, a Rosjanie codziennie przeprowadzali przez Łazarz kolumny jeńców. Często z kolegami towarzyszyliśmy tym kolumnom i napawaliśmy się zwycięstwem. Pewnego razu na końcu kolumny szli chorzy i ranni, podtrzymywani przez innych jeńców. Jeden z nich miał wyraźne kłopot z poruszaniem się i konwojujący żołnierz kazał położyć go Niemcom na skraju drogi. Otoczyliśmy Rosjanina półkolem i patrzyliśmy, jak kule robią takie małe dziurki w mundurze leżącego. Wiem, że to nieludzkie, ale gdy patrzyłem na te dziurki ogarnęła mnie przeogromna radość i zadowolenie. I nie wiem, jak to dzisiaj określić, ale była to największa przyjemność jakiej doznałem w ciągu całego życia, a przeżyłem później jeszcze niemało. To był rewanż za zabrane dzieciństwo, poniewierkę, ojca, bicia, strach, złamaną psychikę i... można by tak w nieskończoność.